Studia Judaica 28 (2025), nr 1 (55), s. 191–222
doi:10.4467/24500100STJ.25.008.22007

Monika Stępień https://orcid.org/0000-0001-5139-5143

Książki, kołdry i kożuchy. Rzeczy emigrantów marcowych*

BOOKS, QUILTS, AND SHEEPSKIN COATS: POSSESSIONS OF THE MARCH EMIGRANTS

Abstract: The antisemitic campaign carried out in Communist Poland in the years 1967–1968 resulted in approximately 13,000 Jews leaving the country. Departure from Poland was preceded by complicated bureaucratic procedures, including the renunciation of Polish citizenship. After receiving permission to leave, a period of hectic preparation ensued, as the "travel document" issued to the emigrants granted them just one month to leave the country. The memoirs of those who left—as well as those who chose to remain—speak of "people trapped in time, running around with all of their possessions." Some of these things were given away or sold for next to nothing, others were lost during the meticulous customs inspections, and still others were taken to the countries where their owners eventually settled. The aim of this article is to present the March Emigration through the lens of possessions, both those that the people forced to leave left behind and those they took with them on their journeys to new lives.

Keywords: emigration, March 1968, Polish Jews, property, possessions.

Słowa kluczowe: emigracja, Marzec 1968, Żydzi polscy, mienie, rzeczy.

* Artykuł powstał w ramach projektu *Przemilczane dwudziestolecie. Żydzi polscy w latach 70. i 80. XX w.* finansowanego ze środków Narodowego Centrum Nauki (numer projektu: 2020/39/D/HS3/00044).

Wstęp

W wyniku brutalnej kampanii antysemickiej przeprowadzonej w Polsce w latach 1967–1968[1] kraj opuściło ok. 13 tysięcy Żydów[2]. Zwolnienia z pracy, relegacje z uczelni, donosy, pogróżki, agresywne artykuły prasowe oraz hasła malowane na transparentach i wykrzykiwane na wiecach tworzyły atmosferę zaszczucia wymuszającą emigrację[3]. „Nas wyjechano"[4] – mówią emigranci marcowi, podkreślając wygnańczy charakter swoich wyjazdów. Rozstanie z Polską poprzedzała skomplikowana, czasochłonna i kosztowna urzędowa procedura przypominająca „młynek biurokratyczny"[5], do którego trafiały liczne formularze, podania, zaświadczenia i zgody[6]. W notatce Biura Paszportów MSW z maja 1968 r. czytamy:

> Petenci składają określone przepisami dokumenty, a ponadto podanie o zezwolenie na zmianę obywatelstwa polskiego[7], skierowane do Rady Państwa. Osobom tym wydaje się zamiast paszportu dokument podróży tak jak dla bezpaństwowców […]. Obecnie opłata […] wynosi 5000 zł[8].

Wśród dokumentów, które ubiegający się o zgodę na opuszczenie Polski musieli przedstawić, znajdowało się m.in. zaświadczenie o niezaleganiu

[1] Więcej na ten temat: Feliks Tych, *„Marzec '68". Geneza, przebieg i skutki kampanii antysemickiej lat 1967/68*, [w:] *Następstwa zagłady Żydów. Polska 1944–2010*, red. Feliks Tych, Monika Adamczyk-Garbowska, Lublin 2011, s. 385–412; Dariusz Stola, *Kampania antysyjonistyczna w Polsce 1967–1968*, Warszawa 2018; Anat Plocker, *The Expulsion of Jews from Communist Poland: Memory Wars and Homeland Anxieties*, Bloomington 2022.

[2] Zob. Stola, *Kampania*…, s. 213.

[3] Zob. Piotr Forecki, *Marzec '68 jako pogrom. Brakująca kategoria opisu*, [w:] *Tożsamość po pogromie. Świadectwa i interpretacje Marca '68*, red. Alina Molisak, Przemysław Czapliński, Warszawa 2019, s. 21–55.

[4] Mikołaj Grynberg, *Księga wyjścia*, Wołowiec 2018, s. 77 (wywiad z Pauliną i Heńkiem Chmielnickimi).

[5] Halina Hila Marcinkowska, *Wieczni tułacze. Powojenna emigracja polskich Żydów*, Warszawa 2019, s. 355 (wypowiedź Nudnika).

[6] Listę dokumentów koniecznych do zgromadzenia przez wyjazdem przybliżają m.in. przytoczone przez Teresę Torańską obszerne i szczegółowe porady, jakich udzielały sobie emigrantki marcowe – Sabina, Basia i Ewa. Zob. Teresa Torańska, *Jesteśmy. Rozstania '68*, Warszawa 2008, s. 387, 389, 391.

[7] Zezwolenie na zmianę obywatelstwa w praktyce oznaczało zrzeczenie się obywatelstwa polskiego potwierdzone adnotacją w dokumencie podróży, stwierdzającą, że „posiadacz niniejszego dokumentu podróży nie jest obywatelem polskim". Zob. Stola, *Kampania*…, s. 211.

[8] *Notatka Biura Paszportów MSW dla władz partyjnych, 16 maja 1968 r.*, cyt. za: Stola, *Kampania*…, s. 349. W przypadku rencistów, kobiet po 60. roku życia, mężczyzn po 65. roku życia opłata za dokument podróży była obniżona o połowę. Dokument dla dzieci do lat 16 był bezpłatny.

z podatkami, potwierdzenie zdania mieszkania oraz zgoda władz wojskowych na wyjazd. Zgody na opuszczenie kraju udzielano wyłącznie obywatelom określającym swoją narodowość jako żydowską[9] i deklarującym wyjazd do Izraela[10]. Promesę izraelskiej wizy należało uzyskać w Ambasadzie Holandii, która po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między Polską a Izraelem w 1967 r.[11] reprezentowała interesy Izraela w Warszawie[12]. W praktyce emigranci obierali różne kierunki podróży. Wielu z nich decydowało się na kraje skandynawskie lub Stany Zjednoczone, co wiązało się z koniecznością uzyskania dodatkowych wiz i wydłużało listę koniecznych do załatwienia formalności. Lea Boruszek wspomina:

> Do dziś trudno mi zrozumieć, że udało nam się wyjechać, i jak sama poradziłam sobie ze wszystkimi praktycznymi sprawami, a trzeba ich było załatwić sporo: wizy izraelską i duńską, paszporty – a raczej dokumenty podróży – bilety i mnóstwo innych [spraw – M.S.], trudnych, ale koniecznych, związanych z wyjazdem i opuszczeniem naszego domu, mienia, bliskich ludzi[13].

Oczekiwanie na zgodę na wyjazd z Polski zwykle trwało od kilku do kilkunastu tygodni. Po jej otrzymaniu następował okres gorączkowych przygotowań, ponieważ od posiadacza dokumentu podróży wymagano opuszczenia kraju w ciągu zaledwie miesiąca. Emigranci marcowi, ale także ci Żydzi polscy, którzy zdecydowali się nie wyjeżdżać, opowiadają o „ludziach w pułapce czasu miotających się z całym swym dorobkiem”[14].

[9] Dariusz Stola podkreśla, że PRL była państwem zamkniętym, pozwalającym na wyjazdy zagraniczne tylko w drodze wyjątku. Żydzi, ale także Niemcy, wyjeżdżali z kraju w specjalnym trybie. Obie grupy kwalifikujące się do wyjazdu wyraźnie oddzielono od reszty ludności zarówno w sensie prawnym, jak i symbolicznym. Jedni i drudzy najczęściej wyjeżdżali z kraju z dokumentem podróży zamiast paszportu, pozbawiani byli obywatelstwa polskiego, a przed wyjazdem musieli spełnić liczne warunki formalne. Zob. Dariusz Stola, *Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949–1989*, Warszawa 2010.

[10] Dariusz Stola podaje, że latach 1968–1969 tylko 28% zarejestrowanych jako emigranci do Izraela faktycznie tam trafiło. Zob. Stola, *Kampania*…, s. 214.

[11] Polska zerwała stosunki dyplomatyczne z Izraelem 12 czerwca 1967 r., zgodnie z wytycznymi Moskwy popierając Arabów w tzw. wojnie sześciodniowej, która 5 czerwca 1967 r. wybuchła na Bliskim Wschodzie.

[12] Joanna Dyduch pisze, że sekcja izraelska holenderskiej placówki dyplomatycznej w Warszawie odpowiadała m.in. za sprawy wizowe i konsularne, pomoc finansową dla polskiej społeczności żydowskiej oraz pomoc dla Żydów emigrujących z Polski, udających się tranzytem do Wiednia. Zob. Joanna Dyduch, *Stosunki polsko-izraelskie w latach 1990–2009. Od normalizacji do strategicznego partnerstwa*, Warszawa 2010, s. 28–29. Więcej na ten temat: André Roosen, *Dutch Diplomatic Representation for Israel in Poland (1967–1990)*, „East European Jewish Affairs” 49 (2019), no. 2, s. 113–130, DOI:10.1080/13501674.2019.1672375

[13] Bogusława Sochańska, *Z Polski do Danii. Wspomnienia emigrantów marcowych*, Luboń 2022, s. 113–114 (wspomnienia Lei Boruszek).

[14] Grynberg, *Księga*…, s. 217 (wywiad z Piotrem Wiślickim).

Jego część sprzedawano za bezcen lub oddawano za darmo, część tracono podczas kontroli celnych, część natomiast zabierano do krajów osiedlenia. Choć opowieść o rzeczach pozostawionych w Polsce przez wyjeżdżających oraz zabranych w podróż do nowego życia stanowi jeden z najważniejszych elementów opisu doświadczenia marcowych emigrantów, utrwalonego w licznych tekstach wspomnieniowych, rzadko pojawia się ona w naukowych opracowaniach dotyczących Marca 1968 r. Celem niniejszego artykułu jest przedstawienie głównych wątków rozpisanej na wiele głosów opowieści emigrantów marcowych o ich rzeczach, zrekonstruowanie na jej podstawie procesu zbywania/tracenia rzeczy oraz przygotowywania ich do wywozu z Polski, a także włączenie tej opowieści w refleksję nad przejmowaniem mienia żydowskiego w Polsce[15]. Podstawę źródłową artykułu stanowią wywiady z Żydami polskimi oraz ich relacje opublikowane w dziewięciu zbiorach opracowanych przez: Mikołaja Grynberga, Halinę Hilę Marcinkowską, Krystynę Naszkowską, Bogusławę Sochańską, Teresę Torańską, Agatę Tuszyńską wraz ze współpracowniczkami oraz Joannę Wiszniewicz[16].

„I tak pani to musi sprzedać, bo przecież zaraz musicie wyjechać”[17]

Nieco ponad dwadzieścia lat po wojnie przedmioty należące do Żydów, opowiadające ich rodzinne historie, znów trafiały w ręce Polaków. Część z nich oddawano na przechowanie[18], bojąc się tego, co przyniesie jutro. „Gdy się zaczęła marcowa nagonka, tata ukrył u Celi wszystkie żydowskie pamiątki”[19] – wspomina Anna de Tusch-Lec. W tym wypadku wybrano

[15] Artykuł koncentruje się na opowieściach emigrantów marcowych o należących do nich rzeczach, w związku z czym przedstawia interpretację świata z punktu widzenia doświadczenia ludzkiego. Warto jednak zaznaczyć, że w ostatnich latach rozwijają się koncepcje przełamujące antropocentryczny paradygmat dominujący we współczesnej humanistyce, proponujące tzw. zwrot ku rzeczom. Zob. np. Bjørnar Olsen, *W obronie rzeczy. Archeologia i ontologia przedmiotów*, tłum. Bożena Shallcross, Warszawa 2013.

[16] Szczegółowe informacje na temat wszystkich tomów znajdują się w bibliografii.

[17] Grynberg, *Księga*…, s. 75 (wywiad z Pauliną i Heńkiem Chmielnickimi).

[18] O rzeczach żydowskich oddawanych w czasie II wojny światowej na przechowanie Polakom zob. Barbara Engelking, *Czarna godzina. Rzeczy żydowskie oddane na przechowanie Polakom*, [w:] *Klucze i kasa. O mieniu żydowskim w Polsce pod okupacją niemiecką i we wczesnych latach powojennych*, red. Jan Grabowski, Dariusz Libionka, Warszawa 2014, s. 387–437.

[19] Agata Tuszyńska i in., *Bagaż osobisty. Po Marcu*, Warszawa 2018, s. 273 (wywiad z Anną de Tusch-Lec).

zaufanych depozytariuszy – rodzinę, której zawdzięczano uratowanie ojca od Zagłady. W okresie próby – brutalnej nagonki, która uruchomiła wojenne wspomnienia i obudziła uśpione lęki – Mostowiakowie po raz kolejny stanęli na wysokości zadania i zaoferowali przechowanie nie tylko żydowskich rzeczy, ale i ich właścicieli, „jeśli sytuacja się pogorszy”[20]. Niestety, wielu Polaków skłonnych było raczej wykorzystać antysemicką kampanię dla własnych korzyści – także materialnych – niż wyciągnąć pomocną dłoń do jej ofiar. Leon Sfard wspomina:

> Jak tylko się okazało, że wyjeżdżamy, odwiedził nas milicjant w cywilu z żoną. Żeby obejrzeć i pomierzyć pożydowskie mienie. Bardzo mili ludzie, nie mieliśmy do nich pretensji. Ta żona chciała się zorientować, jaką szafę musi kupić. Zostawiliśmy im dużo rzeczy, szafy też[21].

Opisana powyżej relacja między emigrantami marcowymi a małżeństwem przygotowującym się do sprawnego i dobrze zorganizowanego przejęcia ich rzeczy tylko pozornie pozbawiona jest napięć. Obciąża ją zapisana w pojęciu „pożydowskiego mienia” pamięć o przejmowaniu przez Polaków żydowskiej własności, przede wszystkim nieruchomości i ruchomości należących do ofiar Zagłady[22] – przywłaszczaniu rzeczy oddanych przez Żydów na przechowanie, plądrowaniu przestrzeni zlikwidowanych przez Niemców gett i obozów oraz denuncjacjach i mordach dokonywanych na Żydach w celu przejęcia ich mienia. W Marcu 1968 r. pamięć ta aktualizuje się pod wpływem m.in. odkupywania za bezcen lub przejmowania za darmo własności ludzi zmuszonych do opuszczenia – najczęściej na zawsze – swojej ojczyzny. Józef Kac wspomina: „Do naszego domu przyszli handlarze i targowali się o meble, oczywiście ich propozycje były śmiesznie niskie. Mama miała łzy w oczach i mówiła, że to samo było w jej Lublinie, jak Niemcy tworzyli getto. Wtedy też oddała wszystko za

[20] Tamże.

[21] Grynberg, *Księga*…, s. 329 (wywiad z Leonem Sfardem).

[22] Zob. Piotr Forecki, *„Mienie pożydowskie” jako figura polskiego dyskursu publicznego*, „Środkowoeuropejskie Studia Polityczne” (2015), nr 4, s. 75–90, DOI 10.14746/ssp.2015.4.5. Magdalena Waligórska i Ina Sorkina zwracają uwagę, że stosowane w języku polskim figury, które miały umożliwić udomowienie żydowskiego mienia, w rzeczywistości tylko podkreśliły, wzmocniły powiązanie między przejmowanymi przedmiotami a ich pierwotnymi właścicielami. Relacja między Polakami a „pożydowskimi” przedmiotami jest więc w zasadzie relacją między Polakami a Żydami. Zob. Magdalena Waligórska, Ina Sorkina, *The Second Life of Jewish Belongings – Jewish Personal Objects and Their Afterlives in the Polish and Belarusian Post-Holocaust Shtetls*, „Holocaust Studies” 29 (2023), no. 3, s. 341–362, https://doi.org/10.1080/17504902.2022.2047292.

grosze”[23]. Nieco ponad dwadzieścia lat po wojnie ponownie wprawiono w ruch znajomy mechanizm przewłaszczenia[24]. O ile jednak w czasie wojny mienie ofiar trafiało głównie w ręce Niemców[25], a dopiero w drugiej kolejności do społeczeństw okupowanych przez nich krajów, o tyle w Marcu 1968 r. beneficjentami przewłaszczenia byli Polacy. Przejmowali nie tylko żydowskie rzeczy, ale również mieszkania. Jedna z rozmówczyń Haliny Hili Marcinkowskiej wspomina:

> Co kilka dni przychodził jakiś urzędnik i sprawdzał, jaki jest postęp naszego pakowania. Mieliśmy miesiąc na wyjazd, a ten facet przyszedł już dwa dni po tym, jak odebraliśmy papiery wyjazdowe. Był strasznie irytujący, ponaglał rodziców i ciągle powtarzał, że na nasze mieszkanie oczekuje już jakiś towarzysz, że to pilna sprawa, bo on ma złe warunki lokalowe i nareszcie będzie mieszkał jak człowiek[26].

Jerzy Eisler twierdzi, że mieszkań emigrantów marcowych nie przejmowały przypadkowe osoby. Raczej byli to „zasłużeni z okresu kampanii »antysyjonistycznej«”[27]. Tezy te wymagają potwierdzenia na podstawie szerokiej kwerendy źródłowej. Na razie jednak w opracowaniach poświęconych Marcowi 1968 r. właściwie nie stawia się kłopotliwych pytań o mieszkania emigrantów, a zdaniem Eislera ich liczba mogła sięgać niemal czterech tysięcy[28]. Zjawisko przejmowania opuszczanych przez emigrantów lokali mieszkalnych opisuje krążący wśród wyjeżdżających gorzki dowcip: „Jak społeczność żydowska uczci zbliżający się zjazd partii? Oddając dziesięć tysięcy mieszkań”[29]. Część z nich miała status lokali służbowych. Formalnie należały na przykład do Urzędu Rady Ministrów, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych albo Ministerstwa Obrony Narodowej. Uzależnienie ich mieszkańców od państwa stwarzało okazję do szykanowania wybranych osób i umożliwiało ich eksmisję na podstawie decyzji administracyjnych. Halina Brown wspomina:

[23] Marcinkowska, *Wieczni tułacze*…, s. 348 (wypowiedź Józefa Kaca).

[24] O wojennym przewłaszczeniu „na korzyść Aryjczyków” zob. Jan Grabowski, *Polscy zarządcy powierniczy majątku żydowskiego – zarys problematyki*, „Zagłada Żydów” 1 (2005), s. 253–260, https://doi.org/10.32927/ZZSiM.161; Jan Tomasz Gross, Irena Grudzińska-Gross, *Złote żniwa. Rzecz o tym, co działo się na obrzeżach zagłady Żydów*, Kraków 2011.

[25] Zob. Nawojka Cieślińska-Lobkowicz, *Polskie. Żydowskie. „Pożydowskie”. Nazistowska grabież dzieł sztuki i problemy restytucji w Polsce 1945–2000*, „Zagłada Żydów” 16 (2020), s. 200–232, https://doi.org/10.32927/ZZSiM.679

[26] Marcinkowska, *Wieczni tułacze*…, s. 392–393 (wypowiedź Dusi).

[27] Jerzy Eisler, *Polski rok 1968*, Warszawa 2006, s. 135.

[28] Tamże.

[29] Marcinkowska, *Wieczni tułacze*…, s. 393 (wypowiedź Dusi).

> Nas zaczęto wyrzucać z mieszkania. To było ładne mieszkanie, w wojskowym bloku, ojciec je dostał w latach pięćdziesiątych, bo wtedy pracował w jakiejś instytucji wojskowej – a teraz dawano nam lokum na terenie dawnego getta. Mama krzyczała:
> – Tam? Po moim trupie! Siłą mnie nie wyniosą!
> Rodzice zaczęli się odwoływać, wysyłać jakieś papiery urzędową drogą, ale widmo eksmisji wciąż nad nami wisiało[30].

Konieczność opuszczenia służbowych mieszkań niejednokrotnie wynikała z tego, że ich lokatorzy stracili pracę u dysponentów tych mieszkań. Niezależnie jednak od statusu zamieszkiwanego lokalu emigranci wspominają ogromną presję, z jaką się spotkali ze strony sąsiadów, ale i zupełnie nieznajomych osób oczekujących ich wyjazdu, a tym samym zwolnienia przez nich mieszkań. Jan de Tusch-Lec wspomina: „Ludzie stali na schodach i pytali: »Kiedy wy Żydzi wyjedziecie, bo chcemy wasze mieszkania«"[31]. Mietek Klajman opowiada, że do drzwi niektórych szczecińskich rodzin żydowskich pukano nocami i domagano się ich wyjazdu. Podejrzewa, że była to milicyjna prowokacja, napędzana żądzą przejęcia żydowskich lokali[32]. Tymczasem Jan Berengaut wspomina, że o jego mieszkanie upominali się znajomi: „Odnalazł mnie chłopak, z którym chodziłem do szkoły średniej. Usłyszał, że wyjeżdżamy, i chciał się dowiedzieć, czy byśmy nie zostawili jego rodzinie swego mieszkania. Bo oni mieli mniejsze"[33]. Uczestnictwo części bliskich znajomych i przyjaciół w procesie pomarcowej redystrybucji żydowskiej własności było dla wyjeżdżających znacznie bardziej bolesne niż działania obcych im ludzi. Jeden z rozmówców Joanny Wiszniewicz wspomina:

> Trzeba było nam zlikwidować mieszkanie i sprzedać meble. Mój najbliższy przyjaciel z akademika chciał te meble ode mnie odkupić, ale kiedy podałem mu cenę […], to on i jego żona powiedzieli, że przecież nie muszę od nich tyle brać, bo „wszystkie Żydki i tak teraz wyjeżdżają"[34].

Natrętni kupcy nakłaniający emigrantów do sprzedania dorobku ich życia za bezcen pojawiają się w licznych wspomnieniach[35]. W rozmowie

[30] Joanna Wiszniewicz, *Życie przecięte. Opowieści pokolenia Marca*, Wołowiec 2018, s. 351 (wywiad z Haliną Brown).

[31] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 282 (wywiad z Janem de Tusch-Lecem).

[32] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 461 (wywiad z Mietkiem Klajmanem).

[33] Torańska, *Jesteśmy*…, s. 73 (wywiad z Janem Berengautem).

[34] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 401 (wywiad z Markiem).

[35] Dariusz Stola pisze, że nie tylko masowa emigracja Żydów, ale także osób wyjeżdżających do NRD i RFN przynosiła wiele okazji do łatwego wzbogacania się, zwłaszcza zakupu – często za bezcen – majątku pozostawianego przez opuszczających kraj. Niejednokrotnie

z Mikołajem Grynbergiem opowiada o nich także Paulina Chmielnicka: „Próbowaliśmy sprzedawać różne rzeczy. Wszyscy chcieli dostać te rzeczy za bezcen. Każdy chętny mówił do mamy: i tak pani to musi sprzedać, bo przecież zaraz musicie wyjechać”[36]. Wielu emigrantów, w obliczu nieuchronnie zbliżającego się terminu opuszczenia kraju i w związku z koniecznością zdobycia środków na opłacenie wyjazdowych formalności, decydowało się na niekorzystne transakcje, dopisując je do długiej i bolesnej listy niesprawiedliwości i upokorzeń, jakie ich spotykały podczas rozstania z Polską:

> Zaczęłyśmy przygotowania do wyjazdu […]. I ja nagle zobaczyłam, że ona [matka – M.S.] mówi do mnie w sposób, w jaki nigdy wcześniej tego nie robiła. Że wszędzie w Polsce jest antysemityzm […], antysemitami są handlarze, którzy wiedząc, że musimy teraz szybko sprzedać rzeczy, kupowali je za bezcen („rozumiesz? – to jest nienawiść!”), i że antysemickie jest upokarzanie nas w urzędach […]. Ta gorycz się z niej wylewała, wiesz, bez końca[37].

Część emigrantów, w poczuciu krzywdy, w porywach gniewu, decydowała się raczej zniszczyć swoje mienie, niż oddać je za darmo lub za bezcen. Jeden z rozmówców Joanny Wiszniewicz wspomina:

> Mnie wtedy taki żal do Polaków ogarnął, taka złość! – bo przecież nam każdy grosz potrzebny był przed wyjazdem – paszporty, pieczątki, wszystko trzeba było płacić – że sobie powiedziałem, że już nic tanio nie zostawię tam nikomu, żeby nie wiem co! Prędzej połamię swoje meble, niż je tanio Polakom zostawię[38].

„Osierocone fragmenty czyjegoś gospodarstwa”[39]

Niesprzedane rzeczy wyjeżdżający rozdawali żydowskim lub nieżydowskim przyjaciołom, znajomym i członkom rodzin, którzy pozostawali w kraju. Agata Tuszyńska pisze, że w jej domu pojawiły się „osierocone fragmenty […] gospodarstwa”[40] siostry dziadka, która opuszczała Polskę z rodziną, a wśród nich gliniane kubki na zsiadłe mleko, makutra i kilka łopatek do ciasta. Przeniesione z domu do domu, splatały codzienność dwóch

korzystali z tego urzędnicy, w tym członkowie komisji do spraw łączenia rodzin rozpatrujących wnioski o wyjazd. Zob. Stola, *Kraj bez wyjścia?*…, s. 122.

[36] Grynberg, *Księga*…, s. 75 (wywiad z Pauliną i Heńkiem Chmielnickimi).

[37] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 364 (wywiad z Małgosią Tal).

[38] Tamże, s. 401 (wywiad z Markiem).

[39] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 10.

[40] Tamże.

rozdzielonych emigracją gałęzi rodziny. W ten oto sposób nie wszystkie rzeczy marcowych emigrantów zostały utowarowione. Niektóre stały się dla nowych właścicieli przedmiotami o dużej wartości emocjonalnej i/lub estetycznej i na lata pozostawały łącznikami pomiędzy obdarowanymi a darczyńcami. Jan Wróblewski wspomina klaser ze znaczkami, jaki otrzymał od wyjeżdżającego kolegi ze szkoły, a jednocześnie przyjaciela z podwórka: „Nie wiem, jak on się z nimi rozstał, bo to był naprawdę wielki skarb. Oddałem mu potem te znaczki, jak spotkaliśmy się w 1994 roku, kiedy to Kuba po raz pierwszy od wyjazdu przyjechał do Polski”[41].

Zarówno decyzja o obdarowaniu bliskich osób, jak i przyjęciu daru bywała niezwykle obciążająca emocjonalnie, przede wszystkim ze względu na kontekst rozstania dotychczasowych właścicieli z rzeczami, jakim był ich wymuszony wyjazd z Polski. Jerzy Neftalin wspomina: „Miałem w domu wspaniały zbiór poezji. Oddałem wszystkie książki Magdzie Umer, wówczas studentce polonistyki. Wyszła obładowana jak wielbłąd. Do dziś jest mi wdzięczna. A ja żałuję”[42]. Przyjmowanie rzeczy od wyjeżdżających, szczególnie takich, które stanowiły dobra kultury, mogło stanowić formę ich ocalenia przed zniszczeniem, rozproszeniem, przejęciem przez osoby niedoceniające ich znaczenia. Jednocześnie w PRL-owskiej rzeczywistości ciągłego niedoboru każda z otrzymywanych rzeczy zyskiwała szczególną wartość, nie tylko symboliczną, ale i materialną. Elżbieta Nekanda-Trepka wspomina, że nie potrafiła przyjąć rzeczy – nawet książek – od wyjeżdżających. „Zachowałabym się jak hiena”[43] – mówi.

Dzieląc dorobek życia na rzeczy do sprzedania, oddania i zabrania ze sobą w podróż do nowego miejsca osiedlenia, emigranci marcowi szczególną uwagę poświęcali książkom. Wielu z nich w ciągu nieco ponad dwudziestu powojennych lat zgromadziło bogate, wielojęzyczne biblioteki. Lila Szmerkowicz-Wysiński wspomina: „Ojciec dużą wagę przykładał do książek. Myśmy wywieźli potem do Ameryki jego książek całe kufry! Czytał w czterech językach, po żydowsku, rosyjsku, niemiecku i polsku, nam też czytał dużo. […] On mnie zaraził tą literaturą”[44].

Najmłodsze pokolenie emigrantów, urodzone już po II wojnie światowej i wychowane przede wszystkim w kulturze polskiej, choć nierzadko zaznajomione z literaturą światową, rozczytywało się w polskiej poezji i prozie.

[41] Marcinkowska, *Wieczni tułacze*…, s. 361 (wypowiedź Jana Wróblewskiego).
[42] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 188 (wywiad z Jerzym Neftalinem).
[43] Tamże, s. 210 (wywiad z Elżbietą Nekandą-Trepką).
[44] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 278 (wywiad z Lilą Szmerkowicz-Wysiński).

Henryk Dasko pisze, że tylko polskich autorów, których książki zapakował do emigranckiej walizki, uznawał za prawdziwie swoich. Wprawdzie lubił Hemingwaya, Steinbecka, Styrona i Faulknera, ale to utwory Konwickiego, Brandysa, Dygata, Hłaski, Andrzejewskiego i Macha budowały mapę świata, który znał, rozumiał i obdarzał miłością[45]. W bagażach wyjeżdżających sporo było literatury współczesnej, ale nie zabrakło także klasyki, na przykład Jolanta Felicja Knobel zabrała ze sobą utwory Słowackiego, Mickiewicza i Norwida[46].

Każdą z wywożonych książek należało oznaczyć numerem, a następnie wpisać na listę podlegającą kontroli ze strony urzędników. Anna Zimerman mówi: „Nie było […] mowy, aby wywieźć książki i przedmioty wydane i wyprodukowane przed wojną. Potrzebne do tego było zezwolenie z Ministerstwa Kultury i Biblioteki Narodowej, a przez miesiąc nie dało się tego zdobyć"[47]. Gustaw Kerszman wspomina, że nie udało mu się wywieźć wartościowego wydania dzieł Mickiewicza pod redakcją Piniego[48], tymczasem rodzina Niny Himelstein zdołała ominąć przepisy i przemycić spisaną w języku holenderskim Biblię z XVIII w. oraz niemieckojęzyczny *Leksykon seksu* z początku XX w.[49]

Wybieranie z domowych bibliotek najukochańszych tytułów i/lub najbardziej wartościowych dzieł stanowiło nie lada wyzwanie. Czas na decyzję zwykle był krótki, a pojemność bagaży ograniczona. Dodatkowym utrudnieniem był emocjonalny związek z gromadzonymi przez lata książkami. Dawid Kreps, który ostatecznie zdecydował się zabrać ze sobą wszystkie książki, stwierdza: „Nie potrafiłem się z nimi rozstać"[50].

Podobnie jak w przypadku książek wydanych przed II wojną światową na wywóz cennych przedmiotów, w tym dzieł sztuki, antyków, należało uzyskać specjalne pozwolenia. Wera Lechtman wspomina:

[45] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 199 (fragmenty prozy Henryka Dasko z książki *Dworzec Gdański. Historia niedokończona*, Kraków 2008).

[46] Tamże, s. 198.

[47] Marcinkowska, *Wieczni tułacze*…, s. 394 (wypowiedź Anny Zimerman).

[48] Torańska, *Jesteśmy*…, s. 229 (wywiad z Gustawem Kerszmanem). Tadeusz Pini (1872–1937) był wydawcą, krytykiem, historykiem literatury, członkiem Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, w latach 1905–1907 redaktorem „Pamiętnika Literackiego", popularyzatorem twórczości romantyków polskich, autorem m.in. wielokrotnie wznawianych zbiorów dzieł Mickiewicza ukazujących się z jego komentarzem. Zob. Jadwiga Suchodolska, *Tadeusz Pini (1872–1937)*, „Pamiętnik Literacki" 53 (1962), nr 3, s. 84–88.

[49] Grynberg, *Księga*…, s. 88 (wywiad z Niną Himelstein).

[50] Marcinkowska, *Wieczni tułacze*…, s. 349 (wypowiedź Dawida Krepsa).

> Miałam srebro, które babcia na nasze nieszczęście przywiozła mi z Izraela w prezencie kilka lat wcześniej. […] I ona oprócz srebra przywiozła mi także cymes – mały wazonik, francuski wyrób z fabryki ceramiki i szkła Gallégo[51], specjalizującej się w imitacji starożytnych wzorów. Dziadek to zbierał. Każde z jego dzieci dostało jakiegoś Gallégo. Nie otrzymaliśmy zgody na wywóz[52].

Opinie dotyczące poszczególnych obiektów wydawali pracownicy muzeów, m.in. Muzeum Narodowego w Warszawie, a ich wycenę można było uzyskać za pośrednictwem państwowego przedsiębiorstwa DESA (Dzieła Sztuki i Antyki). Jedna z rozmówczyń Joanny Wiszniewicz, która mimo kampanii antysemickiej postanowiła nie wyjeżdżać z Polski, wspomina:

> Po studiach dostałam pracę w Desie. To był siedemdziesiąty rok, cały czas trwała emigracja marcowa. […] Przychodzili […] do Desy Żydzi, żeby im różne rzeczy wyceniać przed wyjazdem. Na przykład człowiek miał coś, co było dziełem sztuki, ale nie orientował się, że żeby to wywieźć, musiał oprócz wyceny mieć zezwolenie od konserwatora zabytków. Myśmy go wysyłali do konserwatora i on już zwykle nie wracał, bo konserwator nie dawał mu zezwolenia. Albo przynosił ktoś ukochaną wazę miśnieńską, którą zawsze miał i z którą teraz będzie się musiał rozstać, bo została wyprodukowana przed czterdziestym piątym rokiem i jej mu ze sobą nie wolno wziąć. I okazuje się, że dostanie za nią grosze, bo waza nie ma pokrywy. I on się czuje strasznie rozgoryczony i wzburzony[53].

DESA, która powstała w 1950 r. wskutek decyzji władz polskich o centralizacji i nacjonalizacji handlu dziełami sztuki i antykami, dzięki rozbudowanej sieci salonów i antykwariatów szybko stała się monopolistką na rynku sztuki i pozostała nią aż do lat osiemdziesiątych XX w. Przepisy prawa zobowiązywały ją do zakupu oferowanych przez sprzedawców obiektów o wartości muzealnej, a następnie przygotowania oferty ich zakupu kierowanej w pierwszej kolejności do muzeów. Jeśli żadna z tego typu placówek nie była zainteresowana nabyciem obiektu, DESA mogła go sprzedać osobom prywatnym. Kinga Migalska pisze, że dzięki zachowanym księgom inwentarzowym, rachunkom i korespondencji poszczególnych muzeów z salonami DESA możliwe jest przeprowadzenie badań w zakresie liczby

[51] Émile Gallé (1846–1904) był francuskim projektantem, jednym z czołowych przedstawicieli secesji, tworzącym prace głównie ze szkła. W swojej twórczości najczęściej sięgał po motywy roślinne, eksperymentował z barwieniem szkła i wtapianiem w nie elementów metalowych. Szczególną popularność zdobył u schyłku XIX w., gdy rozpoczął seryjną produkcję swoich prac.

[52] Torańska, *Jesteśmy*…, s. 50 (wywiad z Werą Lechtman).

[53] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 637 (wywiad z Leną).

przedmiotów pozyskanych tą drogą do kolekcji muzealnych. Niestety, wspomniane salony zwykle nie zamieszczały w ofertach szczegółowych informacji o proweniencji poszczególnych przedmiotów ani danych sprzedających, stąd trudno ocenić, ilu wśród nich było Żydów, a ilu nie-Żydów, oraz w jaki sposób i kiedy weszli oni w posiadanie sprzedawanych przedmiotów[54]. Jedna z rozmówczyń Joanny Wiszniewicz wspomina:

> Czasem żydowskie rzeczy przynosili do Desy Polacy. Żydowską biżuterię. […] Biorąc taką rzecz do ręki, zawsze się siebie pytałam: „Skąd ten Polak to ma?". Raz ktoś przyniósł srebrną balsami[n]kę. […] Czułam się okropnie, musząc wyceniać te przedmioty, bo się nie mogłam oprzeć wrażeniu, że pochodzą z wojennych rabunków na Żydach[55].

DESA kupowała rzeczy o określonej wartości artystycznej i/lub zabytkowej – w tym cenne judaika, nie badając szczegółowo ich pochodzenia. Za jej pośrednictwem przechowywane od pokoleń pamiątki, zabytki świątecznych i rodzinnych rytuałów, elementy wyposażenia żydowskich instytucji, w tym miejsc modlitwy, w okresie emigracji marcowej trafiały do prywatnych lub muzealnych kolekcji. W czasie największego nasilenia wyjazdów na rynku pojawiało się tak wiele mniej lub bardziej wartościowych przedmiotów, że powodowały one jego czasowe nasycenie: „Co zrobić z zastawą stołową, gdy ma się tylko miesiąc na spakowanie całego życia? Żadna Desa nie przyjmuje, komisy już są pełne pożydowskiego mienia"[56] – komentuje Piotr Wiślicki.

W pułapce upływającego czasu, którego kres wyznaczała data ważności dokumentów wyjazdowych, w obawie przed nieskutecznością zmagań z biurokratyczną machiną oraz w sytuacji przepełnienia komisów, antykwariatów i salonów dzieł sztuki, wiele osób decydowało się sprzedać wartościowe dobra bez pośredników, często po znacznie zaniżonych cenach: „Mieliśmy stare meble, antyki, ale nie było czasu, aby wystąpić o zgodę na ich wywóz, a i nie wiedzieliśmy, czy nawet taką zgodę dostaniemy. Rodzice sprzedali te meble, oczywiście ze stratą"[57] – wspomina Robert Prażyński. Wielu emigrantów opowiada, że czasu na przygotowanie do wyjazdu mieli *de facto* mniej niż przewidywała urzędowa procedura, ponieważ o konieczności

[54] Dziękuję dr Kindze Migalskiej za konsultację i udostępnienie mi fragmentów swojej niepublikowanej dysertacji pt. *Muzea judaistyczne zorganizowane w synagogach w Polsce w latach 1945–1989 – historia, teraźniejszość, perspektywy* (Uniwersytet Jagielloński, 2023).

[55] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 637–638 (wywiad z Leną).

[56] Grynberg, *Księga*…, s. 217 (wywiad z Piotrem Wiślickim).

[57] Marcinkowska, *Wieczni tułacze*…, s. 392 (wypowiedź Roberta Prażyńskiego).

odbioru dokumentu podróży informowano ich z opóźnieniem. Michał Holcman mówi: „Specjalnie je [dokumenty – M.S.] przetrzymywali, aby czasu na spakowanie i sprzedanie rzeczy było jak najmniej”[58]. Pieniędzy ze sprzedaży mienia, ale i z innych źródeł, nie wolno było wywozić. Zezwalano na zabranie jedynie pięciu dolarów. Środki, których nie wydano na opłaty związane z procedurami wyjazdowymi, przeznaczano najczęściej na zakup przedmiotów przydatnych – zdaniem wyjeżdżających – w krajach ich osiedlenia.

„Wyjeżdżanie polegało na zbieraniu papierów i kupowaniu rzeczy”[59]

Piotr Osęka pisze, że z myślą o rozpoczęciu nowego życia w nowym miejscu wyjeżdżający gromadzili dobra uchodzące w ówczesnej Polsce za luksusowe[60], m.in. futra, telewizory, dywany i kryształy. „Mówiło się, że wyjeżdżając, trzeba zabrać kryształy, żeby je później sprzedać. Każdy Żyd wyjeżdżał z kryształami”[61] – wspomina Włodzimierz Kofman. W podobnym tonie wypowiada się jego żona Elżbieta, zwracając uwagę na ograniczenie ciężaru wywożonych dóbr:

> Przy pakowaniu tata strasznie się denerwował i wszystko kazał ważyć. Można było wziąć dwa kilogramy kryształów. Nie więcej. Miał specjalną wagę i pilnował tych kilogramów. Stale było za dużo. „To co? Mam to rozbić?! Potłuc te szkła?!”. Pamiętam te dyskusje[62].

Ograniczenia dotyczyły nie tylko ciężaru poszczególnych przedmiotów, ale i daty ich produkcji. Zwykle nie pozwalano wywozić rzeczy nowych. Celnicy konfiskowali je w czasie odprawy lub obkładali wysokim cłem, dlatego przedmioty kupione specjalnie na wyjazd – w tym dobra uważane za luksusowe – należało umiejętnie postarzyć. Jeden z rozmówców Joanny Wiszniewicz wspomina: „Kupiliśmy dwa nowe dywany, które trzeba było

[58] Tamże, s. 393 (wypowiedź Michała Holcmana).

[59] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 345 (wywiad z Włodkiem).

[60] Piotr Osęka, *Polowanie na piątą kolumnę*, [w:] Grynberg, *Księga*…, s. 407. Więcej o przedmiotach, które w zależności od warunków ekonomicznych oraz kulturowych zaczynają być postrzegane jako luksusowe zob. Aleksandra Boćkowska, *Księżyc z Peweksu. O luksusie w PRL*, Wołowiec 2017.

[61] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 196 (wywiad z Włodzimierzem Kofmanem).

[62] Tamże, s. 197 (wywiad z Elżbietą Kofman).

przez parę dni zadeptywać, żeby było mniejsze cło”[63]. Bardziej szczegółowo proceder postarzania dywanów opisuje Anna de Tusch-Lec:

> Rodzice przed wyjazdem kupili dywan. Przez kilka tygodni zadeptywaliśmy go mozolnie, sypiąc popiół i łażąc po nim w ciężkich butach. Niewiele z niego zostało do wyjazdu. My też mieliśmy przyzwoity dywan, ale Janek [mąż – M.S.] zrobił na nim stempel, że niby kupiony dwa lata wcześniej. Nie kwestionowali[64].

Próby zmylenia celników nie zawsze jednak okazywały się skuteczne. Leon Marymont wspomina, że jego ojciec pomalował farbą nogi nowego stołu i krzeseł z nadzieją, że będą wyglądać na starsze, używane. Celnicy nie dali się jednak zwieść i zabronili wywozu wspomnianych mebli[65].

„Wyjeżdżanie polegało na zbieraniu papierów i kupowaniu rzeczy”[66] – wspomina jeden z rozmówców Joanny Wiszniewicz. W ramach przygotowań do wyjazdu oprócz dóbr luksusowych gromadzono także podstawowe wyposażenie mieszkań – sprzęty gospodarstwa domowego, zastawy stołowe, kołdry, poduszki, bieliznę pościelową, ręczniki itd. W warunkach charakterystycznej dla PRL-u ograniczonej dostępności dóbr, wykupywanie wyżej wymienionych przedmiotów przez emigrantów nie tylko budziło zaniepokojenie władz państwowych ograniczających wywóz z Polski nowych przedmiotów, ale powodowało także napięcia między wyjeżdżającymi a ich nieżydowskim otoczeniem. Ewa i Freda Rozenbaum wspominają, że gdy stojąc w kolejce do taksówki, nie ustąpiły miejsca księdzu, tłum zaatakował je, wykrzykując nienawistne hasła. Niektóre z tych haseł dotyczyły rynkowych niedoborów, o które oskarżano emigrujących Żydów:

> Wszyscy ludzie stojący w kolejce zaczęli krzyczeć: Żydówy! O, Boże, to było straszne. *Krzyczeli: Wykupili wszystkie ręczniki! W „Chince” wykupili!*[67] Chodziło o chińskie ręczniki ze sklepu „Chinka”. Wtedy do Polski importowano z Chin ręczniki; były wielką rynkową atrakcją[68].

W warunkach niedoboru oraz wobec finansowych i logistycznych trudności związanych z wyjazdem w zdobywanie niezbędnych przedmiotów

[63] Joanna Wiszniewicz, *Z Polski do Izraela. Rozmowy z pokoleniem ’68*, Warszawa 1992, s. 34 (wywiad z Rafałem).
[64] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 198 (wywiad z Anną de Tusch-Lec).
[65] Grynberg, *Księga*…, s. 223 (wywiad z Haliną i Leonem Marymontami).
[66] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 345 (wywiad z Włodkiem).
[67] Kursywą wyodrębniono w oryginalnej publikacji wypowiedzi jednej z sióstr.
[68] Torańska, *Jesteśmy*…, s. 318 (wywiad z Ewą i Fredą Rozenbaum).

zaangażowane były nieraz całe rodziny emigrujących oraz ich przyjaciele[69]. Marek Chrapot wspomina, że pieniądze na zakup upragnionego telewizora jego rodzice otrzymali od mieszkającego w Izraelu brata ojca[70]. Jerzemu Neftalinowi kryształową karafkę ofiarowali natomiast rodzice kolegi[71].

Dość szybko rozwinęła się także swoista turystyka zakupowa. Jeden z rozmówców Joanny Wiszniewicz wspomina eskapady ojca w celu zdobycia niezbędnych rzeczy: „Pamiętam jego […] podróże po całej Polsce w poszukiwaniu pierzyn, firanek, bo taki był wtedy model wyjazdu. Kupiliśmy […] sokowirówkę. I nowy węgierski telewizor »Orion«, który ojciec uważał za szczyt techniki"[72]. Skupowanie rzeczy przez ojca zapamiętał również Michał Sobelman: „Ojciec ciągle gdzieś chodził, kupował rzeczy na wyjazd – dywany, rower, pierzyny, ubrania"[73]. We wspomnieniach emigrantów marcowych często to właśnie ojcowie wyprawiają się w świat po rzeczy, „polują" na nie, zdobywają je, ale również asygnują znaczące środki finansowe na ich kupno. Adam Ringer wspomina: „Ojciec dał mi pięć tysięcy złotych na zakupy. Majątek, prawie trzy pensje miesięczne. Kupowałem. Garnki, porcelitowe brązowe talerzyki […]. Kożuszek z Nowego Targu. Plus pościel, szyta na zamówienie"[74].

Zgodnie z usankcjonowanym tradycją podziałem ról w rodzinie o tym, co należy kupić, często jednak decydowały matki – gospodynie, kapłanki domowego ogniska. „Mama uważała, że muszę mieć puchową kołdrę"[75] – wspomina Włodzimierz Kofman. „Ściereczki kuchenne mama mi dała, trzy swetry, osiem koszul. Miałem garnitur. Mama wybrała materiał w kratkę. Kupiła mi też serwis z porcelitu"[76] – mówi Jerzy Neftalin. „Mama była już zbyt chora, by robić zakupy, więc tylko mnie wysyłała do sklepów po serwis obiadowy, sztućce, poduszki, kołdrę, szlafrok"[77] – wspomina Emilia Biało-

[69] Na temat kręgów rodzinnych i sposobów, w jakie organizowały one sieci wymiany i konsumpcji oraz zdobywały domowe zapasy w okresie późnego komunizmu, zob. Małgorzata Mazurek, *Keeping It Close to Home: Resourcefulness and Scarcity in Late Socialist and Postsocialist Poland*, [w:] *Communism Unwrapped: Consumption in Cold War Eastern Europe*, red. Paulina Bren, Mary Neuburger, Oxford–New York 2012, s. 298–320, https://doi.org/10.1093/acprof:oso/9780199827657.003.0012

[70] Sochańska, *Z Polski do Danii*…, s. 138 (wywiad z Markiem Chrapotem).

[71] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 198 (wywiad z Jerzym Neftalinem).

[72] Wiszniewicz, *Z Polski do Izraela*…, s. 34 (wywiad z Rafałem).

[73] Krystyna Naszkowska, *Ani tu, ani tam. Marzec '68 – powroty*, Warszawa 2018, s. 263 (wywiad z Michałem Sobelmanem).

[74] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 196 (wywiad z Adamem Ringerem).

[75] Tamże (wywiad z Włodzimierzem Kofmanem).

[76] Tamże, s. 198 (wywiad z Jerzym Neftalinem).

[77] Krystyna Naszkowska, *Wygnani do raju. Szwedzki azyl*, Warszawa 2017, s. 194 (wywiad z Emilią Białostocką Degenius).

stocka Degenius. Wiele z przedmiotów zakupionych zgodnie z wolą matek to rzeczy niezbędne w sferze życia codziennego, przedmioty, z których buduje się dom, którymi oswaja się obcą przestrzeń, zmieniając ją we własną. Piotr Sztuczyński wspomina wyjazd przyrodniego brata, Jerzego Neftalina: „Jurek został odpowiednio »wywianowany«. Wszystko dostał: pościel, ręczniki, ubrania, garnitury, naczynia”[78]. Wśród przedmiotów kupowanych z inicjatywy matek emigrantów zdarzają się jednak także rzeczy nieoczywiste, świadczące o ich zapobiegliwości i niezwykłej wręcz pomysłowości. Matki emigrantów to często ocalałe z Holokaustu, zawdzięczające przetrwanie ogromnej sile ducha, odporności i zaradności. To także kobiety, które w warunkach powojennego niedoboru potrafiły zrobić coś z niczego i znaleźć wyjście z najtrudniejszej sytuacji. To ich intuicji i doświadczeniu należało więc ufać, przygotowując się do drogi w nieznane. Michał Foxenius wspomina: „W każdym kraju są knajpy, w każdej knajpie trzeba zmywać. I mama, która w czasie wojny zmywała butelki w obozie w Ravensbrück, kazała mi kupić gumowe rękawiczki, by oszczędzać ręce”[79].

Obok doświadczenia i intuicji emigrantów oraz ich bliskich uczestniczących w przygotowaniach do wyjazdu o doborze przedmiotów zabieranych w podróż do nowego życia decydowały popularne wyobrażenia o Europie Zachodniej, Stanach Zjednoczonych i Izraelu. Krzysztof Kofler wspomina:

> Miałem dwie walizki. Mama zapakowała mi do nich dwadzieścia chińskich ręczników, wtedy w Polsce wycierało się chińskimi ręcznikami, oraz trzydzieści szpulek nici w różnych kolorach. Pierwszy raz jechałem na Zachód i byłem przekonany, że są to towary, których w Danii brakuje. Mama zawsze przecież wiedziała, czego nie ma i jak to zdobyć[80].

Mieszkańcy Europy Środkowej i Wschodniej, oddzieleni od wolnego świata żelazną kurtyną, swoje wyobrażenia o nim kształtowali na podstawie naznaczonych propagandą publikacji książkowych i przekazów medialnych, sporadycznych podróży zagranicznych, listów od rodziny i przyjaciół mieszkających w innych krajach oraz plotek przekazywanych z ust do ust. Marek Chrapot wspomina:

> Przyjaciółka powiedziała matce, że w Danii są ulice z prostytutkami i że na pewno są tam potrzebne prezerwatywy. Więc matka wykupiła chyba wszystkie prezerwatywy w Łodzi! Za wszelką cenę próbowała walczyć o byt rodziny, najlepiej, jak

[78] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 198 (wywiad z Piotrem Sztuczyńskim).
[79] Naszkowska, *Ani tu*…, s. 71 (wywiad z Michałem Foxeniusem).
[80] Torańska, *Jesteśmy*…, s. 348 (wywiad z Krzysztofem Koflerem).

potrafiła. To tragikomiczne: przeżywamy dramatyczny moment w życiu, opuszczamy kraj i wieziemy w walizce prezerwatywy![81].

Emigranci marcowi wymieniali się informacjami pochodzącymi z mniej lub bardziej sprawdzonych źródeł, radzili się siebie nawzajem, co robić, jak najlepiej przygotować się do wyjazdu. „Ludzie chodzili i pytali, co jest potrzebne na Zachodzie i gdzie to można dostać"[82] – wspomina Jan de Tusch-Lec. Narady prowadzone w gronie wyjeżdżających oraz ograniczone zróżnicowanie asortymentu PRL-owskich sklepów powodowały, że niemal wszyscy wyjeżdżający „mieli te same kożuchy, te same kołdry i te same fajanse"[83]. Adam Ringer wspomina: „Kupiliśmy […] brązowy serwis obiadowy. Gdy potem bywałem w mieszkaniach ludzi, którzy przyjechali z Polski, wszyscy jedli na takich samych brązowych serwisach"[84]. Dużą popularnością wśród emigrantów marcowych cieszyło się rękodzieło z Cepelii (Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego)[85]. „Wszystkie domy emigracyjne w Izraelu były cepeliowskie"[86] – wspomina Anna de Tusch-Lec. Do bagaży wyjeżdżających trafiały: wyroby z wikliny i drewna, kilimy i gobeliny, ceramika, hafty, koronki itd. Z jednej strony były to przedmioty cenione na Zachodzie, łatwe do spieniężenia w kryzysowej sytuacji, z drugiej – stanowiły namiastkę polskości, której emigrantom odmówiono, a która stanowiła ważny element ich tożsamości i rodzinnej historii.

Rękodzieło z Cepelii popularnością przewyższały chyba tylko zakopiańskie kożuchy – wspomina o nich większość emigrantów. Podaż tego rodzaju artykułów nie zawsze nadążała jednak za ogromnym popytem, dlatego skupowano wszystkie dostępne modele kożuchów, niezależnie od ich rozmiarów i fasonów, a następnie wymieniano się nimi. Stefan Ulman wspomina:

Kożuch, oczywiście, że miałem kożuch. Zakopiański. Troszkę za duży. Ale miałem. Wszyscy kupowali kożuchy. Nie zawsze pasowały, więc powstało coś w rodzaju giełdy w Warszawie. Przez znajomych. Wiedzieli, że X kupił kożuch, ale jest za duży. Dzwoniło się. Zamieniało z Ygrekiem. Lub odwrotnie[87].

[81] Sochańska, *Z Polski do Danii*…, s. 138–139 (wywiad z Markiem Chrapotem).
[82] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 197 (wywiad z Janem de Tusch-Lecem).
[83] Tamże, s. 190 (wywiad z Anną de Tusch-Lec).
[84] Naszkowska, *Ani tu*…, s. 155–156 (wywiad z Adamem Ringerem).
[85] Więcej na temat Cepelii zob. Piotr Korduba, *Ludowość na sprzedaż. Towarzystwo Popierania Przemysłu Ludowego, Cepelia, Instytut Wzornictwa Przemysłowego*, Warszawa 2013.
[86] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 198 (wywiad z Anną de Tusch-Lec).
[87] Tamże, s. 196 (wywiad ze Stefanem Ulmanem).

Jeden z rozmówców Joanny Wiszniewicz wskazuje, że część dóbr kupowano, kierując się niewłaściwymi przesłankami, pod presją tłumu:

> Ja nie wierzę w teorię spiskową, ale wydaje mi się, że jakiś szyderczy mózg podrzucał nam, wyjeżdżającym Żydom, coraz to nowe idee: a to kupić rower składany, a to kożuch zakopiański, a to narty. Ileż ja się namordowałem, żeby te wszystkie rzeczy pozdobywać, za nartami do Nowego Targu specjalnie jeździłem, potem w Szwecji wysiadłem niczym wielbłąd: w jednej ręce walizka, w drugiej rower składak, a na plecach deski, a to tam żadnej wartości nie miało!…[88].

O ile przywiezione z Polski kożuchy z przyczyn oczywistych nie mogłyby się sprawdzić w upalnym Izraelu, o tyle ich bezużyteczność w surowych warunkach skandynawskich budziła szczere zdziwienie emigrantów. Jerzy Neftalin wspomina: „Kupiłem zakopiański kożuch, bo w Szwecji przecież zimno. A Göteborg – miasto nadmorskie, więc cholerna wilgoć. I ten namoknięty kożuch ważył tam o wiele za dużo. Wrócił do Polski. Jak kożuchy moich kolegów”[89].

Wiele problemów przysparzały emigrantom także zabrane z Polski i nieprzystosowane do zachodnich standardów sprzęty radiowo-telewizyjne oraz artykuły gospodarstwa domowego. Nina Himelstein wspomina: „Pralka od razu poszła do jednego rzeźbiarza, który mieszał w niej beton. Z telewizorem też była masa kłopotów, bo był z innego systemu i trzeba go było przestrajać”[90]. Adam Ringer mówi: „Poduszka się nie sprawdziła, bo okazało się, że w Szwecji są inne rozmiary i nie mogłem kupić na nią poszewek”[91]. Jan de Tusch-Lec z kolei zwraca uwagę na pomoc rzeczową, jaką otrzymywali emigranci marcowi w miejscach osiedlenia. Zdobywane z trudem w Polsce i przywiezione do nowych krajów przedmioty w gruncie rzeczy nie były konieczne do urządzenia się na nowo. W krajach Zachodu, charakteryzujących się rozwiniętą kulturą konsumpcyjną, nasyconych różnorodnymi, nowoczesnymi i łatwo dostępnymi przedmiotami, sprzęty z Polski okazywały się zbędne. Wiele z nich nie przystawało zresztą do miejscowego stylu życia, nie mieściło się w ówczesnych, zachodnich kanonach. Jan de Tusch-Lec mówi: „Kiedy przyjeżdżaliśmy, na Zachodzie królowali hippisi. Długie włosy, luźne stroje. I nagle pojawia się grupa ludzi w garniturach zamawianych prywatnie u krawca. […] A tu wszystko

[88] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 345 (wywiad z Włodkiem).
[89] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 199 (wywiad z Jerzym Neftalinem).
[90] Grynberg, *Księga*…, s. 88 (wywiad z Niną Himelstein).
[91] Naszkowska, *Ani tu*…, s. 155 (wywiad z Adamem Ringerem).

do wyrzucenia”[92]. Budowane na podstawie fałszywych wyobrażeń Zachodu strategie odnajdywania się w nowych okolicznościach okazały się zwodnicze, z trudem zgromadzone rzeczy – nieprzydatne, bezwartościowe, a wysiłek ich zdobywania – daremny.

„Pakowanie to była gehenna”[93]

Pakowanie rzeczy na wyjazd to jedno z najtrudniejszych doświadczeń, jakie zapisało się w pamięci marcowych emigrantów. Rozstanie z Polską, z rodziną i przyjaciółmi, z domem w jego materialnym i symbolicznym znaczeniu, nabierało coraz bardziej realnych kształtów z każdą kolejną rzeczą wkładaną do walizek i skrzyń – stawało się nieuchronne, ostateczne, podczas gdy przyszłość rysowała się mgliście. Emigranci zrywali z całym dotychczasowym życiem, opuszczali drogie im miejsca i żegnali bliskich, wyzbywali się przedmiotów porządkujących ich codzienność, nie wiedząc, co ich czeka po przekroczeniu granicy. Barbara Rubinstein mówi:

> Mój starszy brat zemdlał. To było… jak myśmy się pakowali. Przepraszam, nie mogę o tym mówić… To było… wykańczające. Nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego, co się dzieje. Miałam 15 lat. […] W domu był straszny bałagan. Mama pakowała jakieś pierzyny. Zupełnie bez sensu. Nie wiadomo po co. My po prostu nie wiedzieliśmy, co nas czeka, nie wiedzieliśmy, gdzie w końcu wylądujemy[94].

Niezależnie od tego, czy emigrujący wyjeżdżali sami, czy z rodziną, pakowanie najczęściej stanowiło wysiłek zbiorowy. Z pomocą bliskich, przyjaciół, znajomych, łatwiej było – zarówno pod względem organizacyjnym, jak i emocjonalnym – zamknąć skrawki życia w bagażach i przygotować je do drogi. Przewodnią rolę w tym procesie zwykle pełniły kobiety – rozdzielały zadania, porządkowały rzeczy przeznaczone do spakowania, układały je w walizkach, pudłach i skrzyniach, często decydując, co ostatecznie się w nich znajdzie. Joanna Rose zachowała na pamiątkę jedno z przygotowanych przez matkę oznaczeń bagażu, ułatwiające orientację w jego zawartości: „Tekturowa zawieszka, kawałek kartonu ze sznurkiem. Zapisane ręką mamy: zasłony żółte stare, koszule męskie letnie… Mam to do dzisiaj”[95].

[92] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 197 (wywiad z Janem de Tusch-Lecem).
[93] Torańska, *Jesteśmy*…, s. 50 (wywiad z Werą Lechtman).
[94] Tamże, s. 339 (wywiad z Barbarą Rubinstein).
[95] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 196 (wywiad z Joanną Rose).

Część emigrujących ze względów emocjonalnych nie uczestniczyła w pakowaniu, cedowała na innych ten obowiązek, ponieważ unaoczniał on zbliżający się moment pożegnania z Polską. Ilana Grosman mówi: „Nie powinnam płakać, wiem, minęło czterdzieści lat. Świat mi się wtedy zawalił. Niczego nie pakowałam, nic nie robiłam, mama szyła mi ubrania bez mierzenia. […] Mama pakowała skrzynie. Cały nasz dobytek”[96]. Niektórzy pozostający w Polsce członkowie rodzin emigrantów także nie uczestniczyli w pakowaniu, przygnieceni perspektywą zbliżającego się rozstania z najbliższymi lub manifestując swą niezgodę na ich wyjazd: „Mama pomagała mi się pakować. Tata nie uczestniczył. To było pewnie dla nich trudne”[97] – wspomina Urszula Hibner-Bonnet.

„Pakowanie to była gehenna. Trzeba było zrobić spis koszulek, staników, majteczek. Spisać książki”[98] – mówi Wera Lechtman. Wyjeżdżający musieli sporządzić szczegółową listę wywożonych rzeczy, w trzech egzemplarzach, a następnie przedstawić ją celnikom sprawdzającym jej zgodność z zawartością bagażu i przepisami ograniczającymi wywóz określonych kategorii przedmiotów. Aleksandra Namysło w swojej książce dotyczącej społeczności żydowskiej na Śląsku publikuje fragment spisu rzeczy wywożonych w 1969 r. przez rodzinę Hirschbergów. Figurują na nim m.in. książki oraz 1 pasek do pończoch, 1 komplet pióro i ołówek, 3 długopisy, 6 ręczników, 6 ściereczek, 2 swetry, 1 marynarka, 2 pary spodni, 1 czapka, 1 termos, 2 koszule, 4 pary butów, 3 paski skórzane[99].

Najbardziej pracochłonne było robienie spisów pakowanych książek ze względu na wielkość domowych bibliotek osób wyjeżdżających, ale i szczegółowość wymaganych przez przepisy celne informacji: „Mieliśmy tysiące książek i każdą trzeba było ponumerować i wpisać na listę. Numer, tytuł i autora”[100] – mówi Leon Sfard. Jako najbardziej upokarzające zapisało się w pamięci emigrantów spisywanie sztuk bielizny i rzeczy osobistych. Małgorzata Tal wspomina, że jej matka konieczność wyszczególnienia m.in. „każdych majtek” odczuwała jako jeden z wielu przejawów antysemityzmu towarzyszących wyjazdom emigrantów marcowych[101].

[96] Torańska, *Jesteśmy*…, s. 334 (wywiad z Ilaną Grosman).
[97] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 192 (wywiad z Urszulą Hibner-Bonnet).
[98] Torańska, *Jesteśmy*…, s. 50 (wywiad z Werą Lechtman).
[99] Aleksandra Namysło, *Utracone nadzieje. Ludność żydowska w województwie śląskim/katowickim w latach 1945–1970*, Katowice 2012, s. 182.
[100] Grynberg, *Księga*…, s. 329 (wywiad z Leonem Sfardem).
[101] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 364 (wywiad z Małgosią Tal).

Duże i ciężkie rzeczy pakowano do specjalnie przygotowanych kontenerów, nazywanych przez emigrantów „liftem". Jan de Tusch-Lec wspomina: „Był taki jeden pan, który robił »lift«. […] To była drewniana skrzynia. Dziś sam potrafiłbym coś takiego zmajstrować. Tam musiały się zmieścić wszystkie rzeczy, które wydawały się nam niezbędne"[102]. Leon Sfard wskazuje na korzyści materialne, jakie czerpali niektórzy polscy rzemieślnicy i przedsiębiorcy przygotowujący skrzynie dla emigrantów. Poszerza w ten sposób krąg ludzi, o których zwykle myślimy jako uwikłanych – na różne sposoby – w wydarzenia marcowe: „Była taka firma, która wszystkim Żydom robiła skrzynie. Świetny interes – żydowski transport"[103]. Zarabianie na osobistych tragediach tysięcy emigrantów było przez wielu z nich postrzegane jako nieetyczne i potęgowało dramatyzm ich rozstania z Polską.

Spakowany w skrzynie dobytek należało zawieźć wraz ze spisami rzeczy do urzędu celnego. Szczegółowy opis procedury odprawy prowadzonej w Warszawie znajdujemy we wskazówkach udzielanych sobie wzajemnie przez emigrantki, utrwalonych w publikacji Teresy Torańskiej:

> Cło. Ekspedycja rzeczy. Bagaż ciężki (meble i duże skrzynie) clone są w Urzędzie Celnym Gdańska Towarowa (Stołeczna) […]. Zgłosić się do ustalenia terminu już z zawiadomieniem oraz spisem rzeczy w 3 egzemp. (8.15–14), zrobić dla siebie 4-ty egzemplarz. Zgłosić się natychmiast z decyzją i ze spisem, bo mają bardzo odległe terminy. Po otrzymaniu „paszportu" potwierdzić termin. Bagaż lekki – paczki i skrzynie do 100 kg – Urząd Celny Warszawa Gdańska Osobowa. Zgłosić się do ustalenia terminu tylko z paszportem i spisem rzeczy w trzech egzemplarzach (z decyzją, u nich terminy są krótsze). Dotyczy wysyłki bagażu ciężkiego: 3–4 dni przed cleniem dać zlecenie na wysyłkę: „Hartwig", Al. Jerozolimskie, wieżowiec przy rotundzie, pokój 136, I p. Z posiadanym dowodem osobistym. Po ocleniu jeszcze raz tam się zgłosić i wnieść opłatę po 2 zł od 10 kg. Ogólna waga ponad 500 kg – 3 zł od 10 kg. Od 500 kg plus koszty składowania – ok. 300 zł[104].

Im więcej bagażu chcieli zabrać ze sobą emigranci, z tym wyższą opłatą spedycyjną musieli się liczyć. Z usług firmy Hartwig, wspomnianej w powyższych wskazówkach, skorzystała m.in. Anna de Tusch-Lec:

> „Lift" – skrzynia z rzeczami – poszła przez firmę Hartwig. Prosto do Danii. W niej jakieś pół tysiąca książek, dwa fotele, telewizor, radio, dwa arabskie pufy. I jeszcze

[102] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 197 (wywiad z Janem de Tusch-Lecem).
[103] Grynberg, *Księga*…, s. 329 (wywiad z Leonem Sfardem).
[104] Torańska, *Jesteśmy*…, s. 389 (*Porady wyjazdowe Sabiny dla Basi i Ewy. Wykaz czynności w związku z wyjazdem na stałe*).

mała skrzynia z Cepelii, którą dostaliśmy w prezencie ślubnym od naszej paczki. Tyle. Ubrania zmieściły się w czterech walizkach[105].

Mąż emigrantki, Jan, wspomina, że zabierane rzeczy w większości były nędzne, a mimo to „na cle siedział młody cwaniak i żądał łapówki"[106].

„Nadal panował mit, że Żydzi mają złoto i diamenty i chcą to wywieźć"[107]

Drobiazgowa procedura odprawy celnej odcisnęła w pamięci emigrantów marcowych silne piętno, głównie za sprawą zachowania prowadzących ją osób. Celnicy bardzo dokładnie kontrolowali zawartość skrzyń, pudeł i walizek należących do wyjeżdżających, porównując ją z przygotowanymi przez nich spisami rzeczy. Sprawdzali także, czy wśród wywożonych przedmiotów nie znajdują się żadne niedozwolone, niejednokrotnie zresztą interpretując według własnego uznania przepisy ograniczające wywóz z Polski określonych dóbr. Anna Zimerman wspomina:

To, co mogliśmy zabrać, zapakowaliśmy w skrzynie i pudła, a zawartość wpisaliśmy na szczegółowe listy, których wymagał Urząd Celny. Potem następowała odprawa celna, wyjątkowo upokarzająca i pełna szykan. Celnicy wyszukiwali najrozmaitsze ograniczenia dotyczące na przykład dywanów, rowerów, aparatów fotograficznych. Jednym bez problemów puszczali rowery, nam zabrali. Pozwolili nam natomiast zabrać dywan, a rodzinie odprawianej przed nami zabrali. Nie wiem, czy to były ściśle określone wytyczne, czy tylko radosna twórczość celników[108].

W licznych wspomnieniach emigrantów powraca motyw uznaniowości procedur, uzależnienia losu rzeczy emigrantów – i ich samych – od subiektywnych ocen osób prowadzących kontrolę[109]. Robert Prażyński mówi:

Kiedy poszedłem z tatą oclić to, co mieliśmy zabrać, celnicy zrobili pokazówkę i dokładnie nas przetrzepali, wyciągnęli sporo rzeczy, które uznali, że nie wolno nam wywieźć. Byłem wściekły, bo zabrali mój rower. Chciałem, aby pokazali mi na papierze, że mają prawo mi go zabrać, że nie wolno go wywozić. Bardzo ich

[105] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 198 (wywiad z Anną de Tusch-Lec).
[106] Tamże, s. 197 (wywiad z Janem de Tusch-Lecem).
[107] Marcinkowska, *Wieczni tułacze*…, s. 357 (wypowiedź Jacka Rachwalskiego).
[108] Tamże, s. 393–394 (wypowiedź Anny Zimerman).
[109] Hans-Christian Dahlmann pisze, że to, co wolno było emigrantom wywieźć, różniło się w zależności od województwa. Zob. Hans-Christian Dahlmann, *Antysemityzm w Polsce roku 1968. Między partią a społeczeństwem*, tłum. Barbara Ostrowska, Warszawa 2018, s. 267.

tym zdenerwowałem. Tata próbował odkręcić sytuację, chciał dać łapówkę, ale oni nie przyjęli pieniędzy. Ciekawe, do kogo poszedł mój rower i kto na nim jeździł[110].

Zwykle za łapówkę można było jednak wiele załatwić – przymknięcie oka na wywóz niedozwolonych przedmiotów, mniejszą drobiazgowość kontroli lub jej przyspieszenie, zabezpieczenie przed zniszczeniem przedmiotów w trakcie ich sprawdzania, a także „wykupienie" rzeczy, które celnicy postanowili zarekwirować. „Wymagali – naprawdę wymagali – łapówek i wódki"[111] – twierdzi Anna de Tusch-Lec. Nie każdy jednak był skłonny je dawać. Janusz Marchwiński wspomina, że jego ojciec – zdaniem syna furiat i histeryk – nie tylko nie zdecydował się na wręczenie łapówki, ale dodatkowo pokłócił się z celnikiem, w rezultacie czego „dywany i obrazy zostały na granicy"[112].

W licznych wspomnieniach wyjeżdżających odnajdujemy bardzo podobne przykłady samowoli, bezkarności, cynizmu i brutalności celników oraz tragarzy obsługujących odprawę. Marek Elbaum, opisując kontrolę na Dworcu Gdańskim w Warszawie, wspomina, że emigrantom nie wolno było ruszać odprawianych rzeczy – jedynie celnicy i tragarze mogli się nimi zajmować. Wśród bagaży Elbauma i jego nowo poślubionej żony znajdowała się drewniana skrzynka, a w niej komplet szklanych naczyń. Jeden z tragarzy zaproponował odniesienie pakunku do wagonu za wygórowaną opłatą:

Powiedziałem, że chyba się pomylił, bo tyle to ja zarabiam miesięcznie w instytucie Polskiej Akademii Nauk. Spojrzał mi prosto w oczy i zdążyłem tylko pomyśleć, że to są oczy kogoś, kto mógłby moich dziadków wydać Niemcom. W tym momencie, patrząc mi w twarz, upuścił tę skrzynkę i wszystko się potłukło. Złapałem go za kark i powiedziałem, że idziemy do jego przełożonego, że to jest niemożliwe, żebyście mogli się tak zachowywać. Ojciec mnie odciągał i mówił, że oni to robią specjalnie. Nie wierzyłem, zaciągnąłem go do szefa. Wymienili spojrzenia i nic więcej się nie wydarzyło. To była trauma, która nie pozwoliła mi wrócić do Polski przez następne trzydzieści lat[113].

W utrwalone we wspomnieniach wyjeżdżających sceny z urzędów celnych i dworców wpisane są reminiscencje i skojarzenia wojenne. Anna Artwińska zauważa w tekstach autobiograficznych poświęconych Marcowi 1968 r. wyraźną tendencję do przedstawiania Marca jako swego rodzaju

[110] Marcinkowska, *Wieczni tułacze*…, s. 392 (wywiad z Robertem Prażyńskim).
[111] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 197 (wywiad z Anną de Tusch-Lec).
[112] Naszkowska, *Ani tu*…, s. 105 (wywiad z Januszem Marchwińskim).
[113] Grynberg, *Księga*…, s. 275 (wywiad z Markiem Elbaumem).

powracającej katastrofy. Znamienne, że nawiązujące do wojny i Zagłady wzorce opisu różnych form prześladowań można odnaleźć nie tylko w narracjach ocalałych, ale także przedstawicieli drugiego i trzeciego pokolenia po Holokauście[114].

Znany z historii, napędzany chciwością, ale i niejednokrotnie antysemityzmem, mechanizm pogwałcenia prawa własności emigrantów naznaczał moment ich rozstania z Polską dodatkowym cierpieniem, otwierał rany z najmroczniejszej przeszłości. Róża Goldfarb opowiada o warszawskiej odprawie: „Z bagażami jechało się na Dworzec Gdański, obok znajdował się wielki barak. W baraku wykładało się, co miało, i oni każdą skorupę oglądali i clili. Patrzyłam, co robią, i myślałam o rampie kolejowej w Auschwitz"[115]. Jacek Rachwalski opisuje kontrolę w Lublinie, która odbywała się według podobnych schematów. Drewniane skrzynie należące do wyjeżdżających sprawdzano bardzo dokładnie. Celnicy posuwali się nawet do rozpruwania poduszek i dziecięcych zabawek, co przywodziło na myśl wojenne rabunki:

> Nie wiem, czego szukali, tam były garnki, pościel, ubrania, jakieś pamiątkowe drobiazgi i książki. Celnicy na siłę chcieli coś znaleźć. […] Mama miała łzy w oczach. Ona przeszła przez obóz, a ci celnicy zachowywali się jak faszyści. […] Mieli dokładne instrukcje, czego mają szukać, nadal panował mit, że Żydzi mają złoto i diamenty i chcą to wywieźć, a inna sprawa, że sami celnicy tak dla zabawy, aby tylko nam podokuczać, przeprowadzali tak skrupulatne kontrole[116].

Mit żydowskiego złota wiele razy w historii prowadził do niegodziwości oraz zbrodni – grabieży, mordów, a nawet bezczeszczenia zbiorowych mogił ofiar Holokaustu[117]. Tym razem posiadaczami kosztowności mieli być marcowi emigranci, pozbawieni domu i obywatelstwa wygnańcy, a wśród nich ocalali z Zagłady, którzy krwawe skutki wiary części nie-Żydów we wspomniany mit widzieli w przeszłości na własne oczy. Róża Goldfarb mówi:

[114] Anna Artwińska, *„Odrodziły się traumy z czasów Zagłady". Marzec 1968 jako narracja postkatastroficzna*, „Poznańskie Studia Polonistyczne. Seria Literacka" (2015), nr 25, s. 195, https://doi.org/10.14746/pspsl.2015.25.8. Więcej o powrocie pamięci Zagłady w 1968 roku zob. Dahlmann, *Antysemityzm w Polsce roku 1968*…, s. 241–248.

[115] Torańska, *Jesteśmy*…, s. 364 (wywiad z Różą Goldfarb).

[116] Marcinkowska, *Wieczni tułacze*…, s. 357–358 (wypowiedź Jacka Rachwalskiego).

[117] Zob. Jan Grabowski, *Judenjagd. Polowanie na Żydów 1942–1945. Studium dziejów pewnego powiatu*, Warszawa 2011; Piotr Paweł Reszka, *Płuczki. Poszukiwacze żydowskiego złota*, Warszawa 2019.

> Oni [celnicy – M.S.] chcieli nas po prostu stłamsić. Nie musieli tego robić. Robili dla zabawy. Ich cieszyło, że my się denerwujemy, może boimy, że jesteśmy w ich rękach, że od nich zależymy. To było nieludzkie. Nie wobec mnie, ja byłam młoda, ale wobec rodziców, niedobitków po Holokauście. Ich nie wolno było upokarzać raz jeszcze[118].

Szykany ze strony celników opisuje także Anna de Tusch-Lec. Wspomina, że emigrantom towarzyszyło poczucie, że znajdują się w cudzych rękach, od których są całkowicie zależni[119]. Uczucie to było szczególnie dojmujące dla tych, którzy pamiętali II wojnę światową i Zagładę, ale także dla tych, którzy dopiero wchodzili w dorosłość i w starciu z celnikami odbierali brutalną lekcję życia. Na trudną sytuację młodych emigrantów, którzy wyjeżdżali samotnie i nie mogli liczyć na opiekę ze strony rodziców, zwraca uwagę Jan de Tusch-Lec:

> Mieliśmy po dwadzieścia lat. Nikt nas nie bronił. Nawet rodzice. Tego się nie traktuje poważnie, bo w obliczu Zagłady to pewnie jest błahe. W stosunku do cierpień Polaków w czasie wojny to też jest nic. Ale nas to bolało. Dotkliwie. Im jestem starszy, tym wyraźniej widzę w tym echa wojny. Lub atmosfery tuż przed nią. Jakkolwiek to dziwnie nie zabrzmi, żyliśmy w poczuciu zagrożenia. Czułem w powietrzu ten strach[120].

Kontrole celne towarzyszące wyjazdom emigrantów marcowych przywodziły na myśl szykany, jakich doświadczali Żydzi polscy w okresie międzywojennym i w czasie II wojny światowej. Budziły strach – tak dobrze znany, nawet jeśli niedoświadczany wcześniej osobiście. Był to lęk przekazywany z pokolenia na pokolenie – na co dzień tłumiony, wyciszany, ale zawsze obecny.

„Żydzi wyjeżdżali – i do Desy przychodziły rzeczy odebrane im przez celników na granicy. Biżuteria przede wszystkim. I to było straszne”[121] – wspomina jedna z rozmówczyń Joanny Wiszniewicz, Lena. Pamięta, że do tych rzeczy tworzyła się nieformalna, wewnętrzna kolejka. Sama nigdy się w niej nie ustawiała – jak mówi, nie byłaby w stanie nosić odebranej wyjeżdżającym Żydom biżuterii. Kiedyś zauważyła jednak w jej zbiorze złotą gwiazdę Dawida i postanowiła ją kupić: „Kosztowała prawie tyle, ile cała moja pensja, ale zdobyć chciałam ją za wszelką cenę: żeby nie poszła

[118] Torańska, *Jesteśmy*…, s. 361, 364 (wywiad z Różą Goldfarb).
[119] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 197 (wywiad z Anną de Tusch-Lec).
[120] Tamże (wywiad z Janem de Tusch-Lecem).
[121] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 637 (wywiad z Leną).

w nieżydowskie ręce”[122] – wspomina. Pierwsza w kolejce do gwiazdy była kasjerka – chciała ją kupić i przetopić na pierścionek, transformując tym samym żydowską własność w przedmiot bez biografii[123]. Lena nie ustawała więc w zabiegach o upragnioną rzecz, chcąc zapobiec wymazaniu jej historii i zatarciu znaczenia. Zapytana przez szefową o powód upartej walki o gwiazdę Dawida, odparła, że jest Żydówką. Słysząc to, przełożona rozpłakała się – nie dowierzała, że „taka miła, taka dobrze wychowana”[124] pracownica może być Żydówką, bo najwyraźniej w jej pojęciu Żydzi uosabiali wyłącznie cechy negatywne. Wpisani w odwieczne stereotypy, postrzegani byli jako obcy i zagrażający[125]. Ze wspomnień emigrantów wynika, że zwykle nie budzili współczucia polskiego otoczenia, a raczej uczucie satysfakcji z ich wyjazdu z kraju.

Prowadzone na dworcach kontrole emigrantów marcowych kontynuowano w pociągach, którymi opuszczali Polskę. W dalszym ciągu los wyjeżdżających i ich mienia znajdował się w cudzych rękach. Celnicy w każdej chwili mogli zadecydować o wysadzeniu wyjeżdżających z pociągu pod dowolnym pretekstem. Kwestionowano wielkość ich bagażu podręcznego i poprawność dokumentów, szukano także przewożonych nielegalnie pieniędzy i kosztowności, nieraz otwarcie nawiązując do mitu żydowskiego złota. Stefan Ulman, który – podobnie jak wielu innych emigrantów marcowych – przekroczenie granicy Polski traktował jako symboliczny kres szykan i upokorzeń, mówi:

> Pociąg rusza […]. Cło, otwierać walizki! Dwaj celnicy, głośni, pewni siebie prostacy. Jeden zabezpiecza drzwi, drugi grzebie w walizce. Otwiera wszystko po kolei. A to co? A co w tym? Aż w końcu: „Gdzie masz pan złoto? Przecież wy wszyscy macie złoto. Żydzi zawsze mają złoto”. „Wypierdalaj stąd, skurwielu!” – wrzasnąłem. Potem miałem ulgę. Fizyczną ulgę, że od jutra nic podobnego już mnie nie spotka[126].

Można powiedzieć, że Ulman miał sporo szczęścia – nie został wyrzucony z pociągu mimo postawienia się celnikom. We wspomnieniach

[122] Tamże, s. 638.

[123] Więcej na temat sposobów definiowania obcych rzeczy, włączania ich do użytku, usuwania historii ich poprzednich właścicieli zob. Agata Zborowska, *Życie rzeczy w powojennej Polsce*, Warszawa 2019.

[124] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 638 (wywiad z Leną).

[125] Więcej na temat obrazu Żyda w powojennej Polsce zob. Joanna Beata Michlic, *Obcy jako zagrożenie. Obraz Żyda w Polsce od roku 1880 do czasów obecnych*, tłum. Anna Switzer, Warszawa 2015.

[126] Tuszyńska i in., *Bagaż*…, s. 204 (wywiad ze Stefanem Ulmanem).

emigrantów marcowych udających się pociągiem w kierunku Wiednia odnajdujemy liczne przykłady wysadzenia wyjeżdżających na stacji w przygranicznych Zebrzydowicach i poddania ich dodatkowej, drobiazgowej kontroli. Władysław Poznański wspomina:

> W pociągu oprócz nas jechała tylko jedna rodzina emigrantów […]. Wchodzą celnicy: „Pieniądze jakieś są?!". Zaczęliśmy się śmiać: „Dwieście złotych na pamiątkę". „Musicie oddać. Nie wolno przewozić". Następna celniczka: „Spis proszę! (bo każda rzecz, którą wywoziliśmy, musiała być umieszczona w spisie). Jak coś się nie będzie zgadzać, wyrzucę z pociągu!". I rzeczywiście tę drugą emigrującą rodzinę wysadzili w Zebrzydowicach. Chcieli mieć całą noc na zrobienie szczegółowej rewizji. Tak oni wtedy traktowali ludzi. Przekraczając granicę, czułem, że już nie jestem Polakiem[127].

Róża Goldfarb wspomina, że celnicy weszli do nocnego pociągu do Wiednia tuż przed samą granicą. Stwierdzili, że jej rodzina ma za dużo bagażu, w związku z tym nie zdążą go sprawdzić i oclić. W Zebrzydowicach wysadzono łącznie trzy rodziny, po czym poinformowano je, że urząd celny zostanie otwarty dopiero rano.

> Pociąg odjechał i my zostaliśmy na peronie. To było wredne. Tkwi we mnie jak zadra. Wyjeżdżaliśmy w październiku 1969 roku. Było zimno. Na peronie znajdował się mały baraczek. Był zamknięty. Ktoś odnalazł sprzątaczkę. Załatwił, by otworzyła. Popatrzyła na nas i westchnęła: Wy nie pierwsi[128].

Po przeczekaniu kilku godzin, wyjeżdżający zaczęli dobijać się do urzędu celnego w obawie, że nie zdążą na kolejny pociąg do Wiednia. Uznano, że celnicy czekają na łapówkę. Rodzina Róży Goldfarb nie miała przy sobie pieniędzy, których przecież nie wolno było wywozić. Pozostałym wysadzonym z pociągu udało się jednak uzbierać jakąś kwotę – procedura ruszyła.

> Celnicy powolutku, bardzo powolutku, zaczęli clić. Oglądając zawartość każdej walizki. […] Szukali czegoś. Nie wiem czego. Może dolarów. Rozpłakałam się. Celnik się zdziwił: Co pani płacze? I powiedział: O co pani chodzi, to nasza praca. Miałam zdjęcia w pudełku. Biało-czarne, sześć na dziewięć. Zaczął oglądać każde zdjęcie. Pytam: Czego pan na nich szuka? Nie odpowiedział. I dobrze. Dzięki takim jak on nigdy za Polską nie tęskniłam[129].

[127] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 426 (wywiad z Władysławem Poznańskim).
[128] Torańska, *Jesteśmy*…, s. 361 (wywiad z Różą Goldfarb).
[129] Tamże.

Wspomnienia Aleny Marchwiński potwierdzają wymuszanie łapówek przez celników. Łatwym celem byli młodzi wyjeżdżający, pozbawieni opieki rodziców, zwykle po raz pierwszy podróżujący samodzielnie za granicę:

> Według polskiego celnika mieliśmy za dużo bagażu. Groziło nam wysadzenie z pociągu. Ale moja ciocia nie w ciemię bita, podając mu paszport[130], włożyła do niego resztę polskich pieniędzy, jakie przy sobie miała. Łapówka pomogła, celnik zasalutował i spytał, czy może być w jakiś sposób pomocny. Pozostał mi w pamięci smutny obraz: młody chłopiec, którego wysadzono z pociągu, stoi bezradnie na pustej stacji granicznej, trzymając w rękach kołdrę – żałosny symbol emigranta[131].

W wielogłosie wyjeżdżających, opowiadających o szykanach towarzyszących im do momentu przekroczenia granicy, wyróżniają się pojedyncze relacje wyłamujące się ze schematu. Emilia Białostocka Degenius wyjeżdżała z Polski jako szesnastolatka. Bardzo się bała, ponieważ matka wszyła jej w czapkę sto dolarów. Celnicy nie poddali jej jednak szczegółowej kontroli – jak sądzi dlatego, że wyglądała bardzo dziecinnie[132]. Mieczysław Klajman z kolei wspomina, że celnik odebrał mu ostatnie trzysta, może czterysta złotych, które miał przy sobie, wyjeżdżając z Polski. Po kilkunastu minutach wrócił z czekoladą i innymi drobiazgami zakupionymi za te pieniądze:

> Słyszałem, że niektórym na granicy przetrząsali walizki, niektórych zdjęto z pociągu i rewidowano, i potem musieli czekać na następny pociąg, szykany – a z nami stało się całkiem odwrotnie. Muszę powiedzieć – byłem zaskoczony[133].

Wspomnienia Klajmana o przekraczaniu polskiej granicy stanowią wyjątek wśród tekstów emigrantów marcowych, zogniskowanych niemal wyłącznie wokół doświadczeń o negatywnym charakterze.

Podsumowanie

Wyjeżdżając z Polski na skutek kampanii antysemickiej lat 1967–1968, emigranci marcowi musieli się rozstać z niemal całym swym dorobkiem. Procedury wyjazdowe dopuszczały wywożenie z kraju określonych kategorii dóbr, ograniczonych co do ich liczby, ciężaru i daty produkcji. Limitowano wywóz zarówno rzeczy wyprodukowanych przed II wojną światową,

[130] Najprawdopodobniej chodzi o dokument podróży.
[131] Sochańska, *Z Polski do Danii*…, s. 163–164 (wywiad z Aleną Marchwiński).
[132] Naszkowska, *Wygnani*…, s. 194 (wywiad z Emilią Białostocką Degenius).
[133] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 464 (wywiad z Mieczysławem Klajmanem).

jak i nowych, a przede wszystkim przedmiotów wartościowych, zabytkowych i dzieł sztuki. Pozwolenia na wywóz tych ostatnich wydawano na podstawie opinii pracowników muzeów i wycen przygotowanych przez państwowe przedsiębiorstwo DESA. Przedsiębiorstwo to było zobowiązane do zakupu obiektów o wartości muzealnej. Za jego pośrednictwem część mienia marcowych emigrantów trafiła do placówek muzealnych i prywatnych kolekcjonerów – bez informacji o proweniencji dystrybuowanych tą drogą przedmiotów. Każdy z emigrantów marcowych zobowiązany był do sporządzenia dokładnych list wywożonych dóbr. Figurowały na nich zarówno rzeczy osobiste, przedmioty codziennego użytku, jak i pamiątki rodzinne oraz książki. Przedmioty, których ze względu na przepisy wyjazdowe nie można było wywieźć z Polski, sprzedawano w pośpiechu, po zaniżonych cenach, pod presją polskiego otoczenia. W procesie pomarcowej redystrybucji żydowskiej własności brali udział zarówno znajomi wyjeżdżających, jak i osoby zupełnie im obce – natrętni kupcy czekający na możliwość przejęcia za bezcen „pożydowskiego mienia". Niesprzedane rzeczy rozdawano – najczęściej przyjaciołom pozostającym w Polsce. Pieniędzy ze sprzedaży dobytku nie wolno było wywozić, dlatego emigranci skupowali przedmioty, które miały stanowić dla nich zabezpieczenie finansowe w nowym kraju i pomóc im zbudować domowe przestrzenie od nowa. W gronie wyjeżdżających żywo dyskutowano o tym, co zabrać w nieznane. Odwoływano się do stereotypowych wyobrażeń Zachodu i plotek. Efekty tych dyskusji w połączeniu z ograniczoną dostępnością dóbr w PRL-u owocowały zakupem przez wyjeżdżających takich samych przedmiotów – dóbr uznawanych za luksusowe, elementów wyposażenia mieszkań, rękodzieła z Cepelii i góralskich kożuchów. By zdobyć te wszystkie przedmioty, emigranci praktykowali swoistą turystykę zakupową, w której brali udział także ich bliscy i przyjaciele, wspierający wyjeżdżających w gromadzeniu niezbędnych rzeczy. Wykupywanie dóbr przez Żydów – w szczególności dóbr najtrudniej dostępnych i uznawanych za luksusowe – budziło niechęć polskiego otoczenia zmagającego się z niedoborem towarów i prowadziło do dodatkowych napięć między pozostającymi w Polsce a wyjeżdżającymi. Napięcia te najsilniej jednak wybrzmiewały na granicy. Procedurze odprawy celnej towarzyszyły niezwykle drobiazgowe kontrole, których celem było wykrycie wszelkich niezgodności między zawartością bagażu wyjeżdżających a przedstawionymi przez nich listami wywożonych dóbr, a także ujawnienie mitycznego żydowskiego złota rzekomo przemycanego przez granicę. Emigranci wspominają samowolę i skłonności łapówkarskie

celników oraz uznaniowość stosowanych przez nich procedur, jednocześnie przywołując w pamięci obrazy brutalnych, wojennych przewłaszczeń.

Pozbawienie emigrantów marcowych ich mienia stało się dla wielu z nich jednym z najważniejszych komponentów doświadczenia rozstania z rodzinnym krajem. Ci, którzy uczestniczyli w przewłaszczeniu lub przyglądali mu się obojętnie, stworzyli w pamięci wyjeżdżających obraz ogółu polskich współobywateli. Halina Brown wspomina:

> O Polsce myślałam wtedy w sposób jednoznaczny. Polska to dla mnie byli ci, którzy chętnie wprowadzili się do mieszkania po moich rodzicach. I ci, co za bezcen kupili nasze meble (wiedząc, że rodzice szybko je muszą przed wyjazdem sprzedać). I ci, którzy wzięli posadę po moim ojcu. I ci, którzy nie powiedzieli mi, że jest im przykro z powodu szykanowania Żydów[134].

Warto podkreślić, że mimo wygnania z rodzinnego kraju, część emigrantów marcowych do dziś traktuje zabrane z niego przedmioty jak relikwie, nie będąc – mimo upływu czasu i przebycia tysięcy kilometrów – gotowymi na ostateczne pożegnanie z Polską.

Bibliografia

1. Źródła wydane

Grynberg Mikołaj, *Księga wyjścia*, Wołowiec 2018.
Marcinkowska Halina Hila, *Wieczni tułacze. Powojenna emigracja polskich Żydów*, Warszawa 2019.
Naszkowska Krystyna, *Ani tu, ani tam. Marzec '68 – powroty*, Warszawa 2018.
Naszkowska Krystyna, *Wygnani do raju. Szwedzki azyl*, Warszawa 2017.
Sochańska Bogusława, *Z Polski do Danii. Wspomnienia emigrantów marcowych*, Luboń 2022.
Torańska Teresa, *Jesteśmy. Rozstania '68*, Warszawa 2008.
Tuszyńska Agata i in., *Bagaż osobisty. Po Marcu*, Warszawa 2018.
Wiszniewicz Joanna, *Z Polski do Izraela. Rozmowy z pokoleniem '68*, Warszawa 1992.
Wiszniewicz Joanna, *Życie przecięte*. *Opowieści pokolenia Marca*, Wołowiec 2018.

2. Opracowania

Artwińska Anna, *„Odrodziły się traumy z czasów Zagłady". Marzec 1968 jako narracja postkatastroficzna*, „Poznańskie Studia Polonistyczne. Seria Literacka" (2015), nr 25.
Boćkowska Aleksandra, *Księżyc z Peweksu. O luksusie w PRL*, Wołowiec 2017.

[134] Wiszniewicz, *Życie*…, s. 564 (wywiad z Haliną Brown).

Cieślińska-Lobkowicz Nawojka, *Polskie. Żydowskie. „Pożydowskie". Nazistowska grabież dzieł sztuki i problemy restytucji w Polsce 1945–2000*, „Zagłada Żydów" 16 (2020).

Dahlmann Hans-Christian, *Antysemityzm w Polsce roku 1968. Między partią a społeczeństwem*, tłum. Barbara Ostrowska, Warszawa 2018.

Dyduch Joanna, *Stosunki polsko-izraelskie w latach 1990–2009. Od normalizacji do strategicznego partnerstwa*, Warszawa 2010.

Eisler Jerzy, *Polski rok 1968*, Warszawa 2006.

Engelking Barbara, *Czarna godzina. Rzeczy żydowskie oddane na przechowanie Polakom*, [w:] *Klucze i kasa. O mieniu żydowskim w Polsce pod okupacją niemiecką i we wczesnych latach powojennych*, red. Jan Grabowski, Dariusz Libionka, Warszawa 2014.

Forecki Piotr, *Marzec '68 jako pogrom. Brakująca kategoria opisu*, [w:] *Tożsamość po pogromie. Świadectwa i interpretacje Marca '68*, red. Alina Molisak, Przemysław Czapliński, Warszawa 2019.

Forecki Piotr, *„Mienie pożydowskie" jako figura polskiego dyskursu publicznego*, „Środkowoeuropejskie Studia Polityczne" (2015), nr 4.

Grabowski Jan, *Judenjagd. Polowanie na Żydów 1942–1945. Studium dziejów pewnego powiatu*, Warszawa 2011.

Grabowski Jan, *Polscy zarządcy powierniczy majątku żydowskiego – zarys problematyki*, „Zagłada Żydów" 1 (2005).

Gross Jan Tomasz, Grudzińska-Gross Irena, *Złote żniwa. Rzecz o tym, co działo się na obrzeżach zagłady Żydów*, Kraków 2011.

Korduba Piotr, *Ludowość na sprzedaż. Towarzystwo Popierania Przemysłu Ludowego, Cepelia, Instytut Wzornictwa Przemysłowego*, Warszawa 2013.

Mazurek Małgorzata, *Keeping It Close to Home: Resourcefulness and Scarcity in Late Socialist and Postsocialist Poland*, [w:] *Communism Unwrapped: Consumption in Cold War Eastern Europe*, red. Paulina Bren, Mary Neuburger, Oxford–New York 2012.

Michlic Joanna Beata, *Obcy jako zagrożenie. Obraz Żyda w Polsce od roku 1880 do czasów obecnych*, tłum. Anna Switzer, Warszawa 2015.

Migalska Kinga, *Muzea judaistyczne zorganizowane w synagogach w Polsce w latach 1945–1989 – historia, teraźniejszość, perspektywy*, niepublikowana praca doktorska, Uniwersytet Jagielloński, 2023.

Namysło Aleksandra, *Utracone nadzieje. Ludność żydowska w województwie śląskim/katowickim w latach 1945–1970*, Katowice 2012.

Olsen Bjørnar, *W obronie rzeczy. Archeologia i ontologia przedmiotów*, tłum. Bożena Shallcross, Warszawa 2013.

Osęka Piotr, *Polowanie na piątą kolumnę*, [w:] Mikołaj Grynberg, *Księga wyjścia*, Wołowiec 2018.

Plocker Anat, *The Expulsion of Jews from Communist Poland: Memory Wars and Homeland Anxieties*, Bloomington 2022.

Reszka Piotr Paweł, *Płuczki. Poszukiwacze żydowskiego złota*, Warszawa 2019.

Roosen André, *Dutch Diplomatic Representation for Israel in Poland (1967–1990)*, „East European Jewish Affairs" 49 (2019), no. 2.

Stola Dariusz, *Kampania antysyjonistyczna w Polsce 1967–1968*, Warszawa 2018.
Stola Dariusz, *Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949–1989*, Warszawa 2010.
Suchodolska Jadwiga, *Tadeusz Pini (1872–1937)*, „Pamiętnik Literacki" 53 (1962), nr 3.
Tych Feliks, *„Marzec '68". Geneza, przebieg i skutki kampanii antysemickiej lat 1967/68*, [w:] *Następstwa zagłady Żydów. Polska 1944–2010*, red. Feliks Tych, Monika Adamczyk-Garbowska, Lublin 2011.
Waligórska Magdalena, Sorkina Ina, *The Second Life of Jewish Belongings – Jewish Personal Objects and Their Afterlives in the Polish and Belarusian Post-Holocaust Shtetls*, „Holocaust Studies" 29 (2023), no. 3.
Zborowska Agata, *Życie rzeczy w powojennej Polsce*, Warszawa 2019.

Monika Stępień
Instytut Judaistyki UJ
monika1.stepien@uj.edu.pl